



Magdalena Pasternak

WŁADZA

Elita San Diego #1



Copyright ©

Magdalena Pasternak

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2022

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

All rights reserved

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Sandra Pętecka

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-875-5

MAGDALENA PASTERNAK

WŁADZA

ELITA SAN DIEGO #1

OŚWIĘCIM 2022

PROLOG

Zanoszę się szlocham, siedząc na tylnej kanapie taksówki. Serce bije mi szalenie mocno, dłonie pocą się ponadnormatywnie. Co ja najlepszego zrobiłam?

Spoglądam zapłakanymi oczami na lewą rękę, której serdeczny palec szpeci złota obrączka. Szpeci, gdyż nigdy nie powinna była się na nim znaleźć. A już na pewno nie w takich okolicznościach!

Ściągam ją czym prędzej i chowam do kieszeni, odczuwając na jej widok autentyczny wstyd.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia kierowca, zatrzymując się pod zasuniętą ciemną bramą panelową.

– Dziękuję. – Nawet nie zerkam w stronę lusterka, w którym baczenie mi się przygląda.

Nie potrzebuję żadnego współczucia, nie potrzebuję słów pocieszenia. Już na to za późno.

Otwieram drzwi, zaczynając trząść się coraz bardziej. Łapię za uchwyt czerwonej walizki i ostrożnie opuszczam pojazd. Chole-
ra jasna, jak ja teraz powiem o tym rodzicom?

Samochód odjeżdża, a razem z nim wszelka moja nadzieja i spokój. Jestem jednym wielkim kłębkim nerwów. Zerkam ku widocznemu nad ogrodzeniem domowi. Biała elewacja, popielaty dach, kilka okien ze szprosami, kwadratowe kinkiety. W narożnikach znajdują się młode, niskopienne sosny.

Naciskam ostrożnie dzwonek domofonu przymocowanego do murowanego słupka. Serce próbuje wyrwać mi się z piersi, w uszach słyszę jedynie szum.

– Słucham? – wita mnie bezemocjonalny głos ojca.

– To... – chrypię. Odchrząkuję, aby w ogóle być w stanie cokolwiek z siebie wydusić. – To ja.

– Kiana?

Diody dookoła kamery zapalają się.

– Tak, tato, Kiana.

Rozlega się dźwięk odblokowywania zamka, furtka odchyła się od framugi. Popycham metalowe skrzydło i ciągnąc za sobą swój bagaż, wchodzę na teren posesji. Na podjeździe zaparkowane stoją oba mercedesy rodziców, jak zwykle skierowane maskami w stronę wyjazdu. Kółeczka walizki stukają o brukowany chodnik, przypominając mi tymi dźwiękami chwilę, w której wybiegłam czym prędzej z hotelu na Hawajach. Oddech mimowolnie mi przyspiesza, niemalże uniemożliwiając prawidłowe dotlenienie. Jest niesłychanie szybki i skrajnie płytki.

Przechodzę przez próg. Zostawiam cały ekwipunek w holu na biało czarnych płytkach ułożonych w szachownicę, tuż obok stojącego przy schodach fotela. Zrzucam pod pierwszym stopniem buty i podtrzymując się ocynkowanej poręczy, wchodzę powoli na piętro.

– Mówiłam ci, Jay, że to bardzo zły pomysł!

Dolatuje do mnie fragment wypowiedzi mamy. Od razu wiem, że coś konkretnie zaszło jej za skórę.

– A jakie mamy inne wyjście?! – bulwersuje się ojciec. – Chcesz to wszystko zaprzepaścić? Ot tak?

– Musi być z tego inne wyjście!

Zatrzymuję się na podeście i zauważam, jak przyglądają się sobie rozemocjonowani. Stoją przed wygaszonym kominkiem, plecami zwróceni do mnie. Ubrani jak zawsze elegancko, gdy każdego dnia jadą do firmy. Głowa rodziny ma na sobie granatowy garnitur w kratę, rodzicielka natomiast prostą bordową sukienkę ze zdobionym dekoltem, a ciemne włosy upięła w ten swój charakterystyczny kok.

– O co chodzi? – wyduszam z siebie zaniepokojona ich nie-standardowo chaotycznym podejściem.

Coś ewidentnie wisi w powietrzu. Oboje oglądają się na mnie, są jakby... Zmartwieni? Zatraskani?

Blednę.

Oni wiedzą.

Na samą myśl o tym, że już dowiedzieli się prawdy, uginają się pode mną kolana. Już słyszę te pełne wrogości komentarze ojca na temat tego, jaka to jestem nieodpowiedzialna, głupia i prostacka, jak bezmyślnie naraziłam ich wszystkich.

Żołądek podchodzi mi do gardła i zbiera mi się na wymioty, chociaż nie jadłam niczego prawie dobie.

– Usiądź, Kiana, musimy porozmawiać – poleca nieco przygaszonym tonem mama.

Ja pieprzę, oni naprawdę wiedzą!

Trzymając się barierki, przysuwam się do nich i z ogromną niepewnością zajmuję miejsce na długiej śnieżnobiałej kanapie z ozdobnymi poduchami. Boję się zabrać głos jako pierwsza. Boję się ich reakcji, boję się powiedzenia tego wszystkiego. Teraz, jak rzadko kiedy, czuję się płochliwie, może nawet tchórzliwie. Mój silny charakter, który przysporzył mi już dziesiątek kłopotów i problemów, chowa się gdzieś za resztkami delikatności, jakie w sobie mam.

– Mamy ogromny problem w naszej firmie – odzywa się tata. Jest mężczyzną o niebieskich oczach i zaczesanej do tyłu lekko uniesionej fryzurze.

– To znaczy?

Pojawia się we mnie iskierka nadziei, że może to wcale nie chodzi o mój zesłonočný wybryk.

– Zapewne kojarzysz Roberta Colina, naszego największego konkurenta na rynku? – pyta właściwie retorycznie, gdyż doskonale zna moją odpowiedź.

Zasycha mi w ustach. A więc to jednak ma coś wspólnego z pieprzonym Colinem.

Czuję ogromną bezradność. Dlaczego w ogóle zgodziłam się na coś tak chorego? Dlaczego rozsądek wypiął się na mnie akurat zeszłej nocy? Jak mogłam dopuścić do tego wszystkiego?!

Mimo rozsadzających moją głowę myśli kiwam nieśmiało głową, na co on kontynuuje:

– Wiesz od dawna, że z tygodnia na tydzień ubywa nam klientów. Ludzie wołają doradców i managerów, którzy pracują dla międzynarodowych korporacji, niżeli tych lokalnych jednostek. – Siada na sofie naprzeciwko, rozstawiając szeroko nogi. – Dzisiaj rozwiązał z nami umowę nasz najstarszy kontrahent, Fisollo Airlines.

– Fisollo Airlines? – Otwieram w ogromnym szoku usta. – Przecież to z nami zaczynali i dzięki nam są dzisiaj tym, kim są.

Momentalnie się uspokajam. A więc wcale nie chodzi o mnie!

Niepojęta ulga niweluje szalejące we mnie od kilkunastu godzin nerwy, dając odrobinę wytchnienia. Mimo tego podjęta przez ojca kwestia zdecydowanie nie należy do dużo przyjemniejszych.

– Co z tego, skoro teraz Colin Enterprises szczyli się większymi wpływami niż my.

– Przeszli do Colina?

– Tak. Dzisiaj rano wydali oświadczenie prasowe.

Nie mogę uwierzyć własnym uszom. Od dawna wiedziałam, że z rodzinnym biznesem zaczyna robić się bardzo krucho. Nigdy jednak nie sądziłam, że nasz prawie dwudziestoletni partner postanowi przejść do konkurencji. Brak mi słów.

– Ludzie z branży wiedzą i widzą, jakie mamy problemy. I właśnie w tej sprawie, skontaktował się z nami sam Robert Colin. – Zabiera głos mama, zajmując miejsce po prawej stronie swojego męża.

– Po co? – Krzywię się, nie rozumiejąc jego zagrania.

Rodzicielka łapie ojca za rękę, spoglądają na siebie w jakiś dziwny sentymentalny sposób. Momentalnie rodzi się we mnie tysiąc pięćset myśli oraz drugie tyle wątpliwości.

– Robert złożył nam bardzo hojną propozycję – oświadcza głowa rodziny, zadzierając brodę.

– Chce odkupić od was firmę?

– Nie. Chce połączyć siły.

Kręcę z niedowierzania głową.

Słucham? Czyżbym się przestyszała?

– Co takiego? – Bacznie przyglądam się rodzicom, będąc niemalże pewną, że robią sobie ze mnie żarty. – Po co mu fuzja z upadającym przedsiębiorstwem?

– Jego działalność jest dużo krótsza niż nasza, więc zamierza zainwestować w naszą tradycję i historię.

– Bez urazy, ale to bez sensu.

Nie widzę racjonalnego wyjaśnienia dla tego zjawiska. To musi mieć jakieś drugie dno, a Robert Colin na tysiąc procent ma w stosunku do nas jakieś ukryte zamiary. W przeciwnym razie jego działanie byłoby niebotycznie irracjonalne.

– Co mu z tego? Co mu po tym? – dopytuję nieustępliwie.
– Co on będzie z tego miał?

– Bardziej liczy się to, co my będziemy z tego mieli.

– Przy dobrych wiatrach może kilka milionów. – Wywracam oczami.

– Te dekady ciężkiej pracy wcale nie muszą pójść na marne...
– kontynuuję tata, puszczając mimo uszu moje wtrącenie. – Nasze nazwisko pojawi się w logo jego firmy, a my będziemy sprawować w niej konkretne stanowiska.

Brzmi mi to na bajkę, w dodatku bajkę dla bardzo naiwnych. Doświadczenie doświadczeniem, ale Colinowi to zwyczajnie się nie kalkuluje.

– Ale co mu daje nasz dorobek?

– Przede wszystkim marketing. Takie zagranie roznieś się po całym kontynencie, przyciągając tym nowych klientów nie tylko z Ameryki.

– No nie wiem... – Robię zawiedzioną minę. – To brzmi zbyt pięknie, aby było prawdziwe.

– Kiana, koszty są po obu stronach – dodaje trochę nerwowym głosem brunetka.

– Chwila, chwila. Chyba się w tym zgubiłam. To jeszcze my mamy za coś zapłacić? – parskam pogardliwie.

– Nie do końca – markotnieje – bo widzisz, postawiono nam konkrety warunek.

– Jaki?

W sekundę całkowicie poważnieję. Takie stwierdzenie nie zapowiada niczego dobrego.

– Aby zarząd przyjął taką propozycję, należy pokazać przed nim zjednoczony front. A nic tak dobrze nie oddaje przesłania, jak... – urywa, zerka niepewnie na tatę – jak połączenie rodzin.

– Nie rozumiem.

– Jako nasza jedyna córka musiałybyś wyjść za jego jedynego syna, Reeda – uzupełnia głowa rodziny tonem pozbawionym jakichkolwiek blokad.

Mam wrażenie, że właśnie z rozpędu wpadłam w betonową ścianę. Jestem przekonana, że to tylko jakiś chory sen, koszmar. To nie może dziać się naprawdę, to na pewno tylko zupełnie nieśmieszna drwina.

Bacznie przyglądam się rodzicom, czekając na jakiś choćby najmniejszy drobiazg, który obali to, co właśnie powiedzieli. Uśmiech, spojrzenie, mowę ciała, no cokolwiek! Oni jednak siedzą niezmiennie bardzo blisko siebie, a ich twarze pełne są powagi. W tym samym momencie dociera do mnie, że oni nie żartują.

Podnoszę się gorączkowo z siedziska, jakby zaczęło mi się palić pod pośladkami.

Kurwa, właściwie to się pali.

– Mowij nie ma! – oświadczam pewnie, od razu z wysokiego C. Skrajne emocje uderzają we mnie z rozmaitych stron, pogłębiając odbiór tej chorej rzeczywistości.

– Córeczko, to nasza jedyna szansa.

– Nie zgadzam się!

– Kiana, proszę cię, przemyśl to. – Ojciec próbuje złapać mnie za ramię, jednak natychmiast robię unik. – Biznes wymaga poświęceń, a ty doskonale o tym wiesz.

– Nie zgadzam się! – powtarzam zawzięcie.

– Uwierz, że gdyby było z tego inne wyjście, nigdy bym ci tego nawet nie przedstawił.

– Ja wszystko rozumiem, ale no Chryste! Mam robić za klacz rozplodową?! – wybucham, skoro to wszystko układa się w jedną całość. – Mam puszczać się z jego synem, żeby wasza firma nie upadła?! W jakim wieku wy żyjecie i co macie w głowach?!

Krew dosłownie gotuje mi się w żyłach, temperatura wokół mnie gwałtownie się podnosi. Serce bije mi tak szybko i tak mocno, że dosłownie słyszę tętno w uszach. Przysięgam, że jestem na granicy omdlenia.

– Z nikim nie będziesz musiała się puszczać – prostuje mama, widząc, ile kosztuje mnie ich propozycja.

– A jak to inaczej nazwiesz?!

– Normalnie się pobierzecie, przyjmiesz jego nazwisko. Wszystko będzie załatwione zgodnie z prawem.

Parskam arogancko pod nosem.

Nie, żebyśmy zeszłej doby dokładnie tego nie zrobiła.

Różnica polega jednak na tym, że to był tylko głupi zakład, a jego konsekwencje mam zamiar jak najszybciej zneutralizować. Właśnie od tego mamy najlepszych w swojej dziedzinie prawników, którzy błyskawicznie unieważnią moje hawajskie „zamąż-pójście”. W tym wypadku jednak nie chodzi o żaden chory zakład! To stałoby się moją codziennością, przeklętym losem.

– Fakturę także mu za mnie wystawicie? – rzucam pogardliwie, mierząc ich oboje wyniośle.

– Kiana! – gani mnie ojciec. – Jesteśmy w tym z tobą. Pomożemy ci we wszystkim, będziemy stać za...

– Och, cóż za ulga – przerywam mu.

Każde z nas doskonale wie, że cały ciężar tego pieprzonego układu spadnie tylko i wyłącznie na moje barki.

– Spiszemy umowę, uwzględnimy w niej co trzeba.

– Kogo wy próbujecie oszukać, co? – Zbiera mi się na wymioty.

Kręcę z niedowierzaniem głową. Kto by pomyślał, że własni rodzice w ogóle wpadną na tak absurdalny pomysł, a co dopiero mi go przedstawia? Jak mogą widzieć w tym choć cień normalności? Nie żyjemy w średniowieczu, takie opcje nie powinny mieć prawa bytu. A jednak. I z tego co widzę, to im to odpowiada...

– Utrzymanie firmy jest dla was ważniejsze od jedyne go dziecka? – Próbuję wziąć ich pod włos.

To jedyny sprawdzony sposób, moja ostatnia deska ratunku.

– Kiana, proszę cię – sapie mama. – Wiem, że na ten moment wydaje ci się to tragiczne, ale uwierz mi, z czasem się przeła...

– To nie wydaje się tragiczne, to jest katastrofalne! – wchodzę jej w zdanie. – Jak w ogóle możecie mi to proponować?

– To jedyna opcja. Nasza jedyna szansa.

Prycham pogardliwie pod nosem. Oni już podjęli decyzję, a ja pomimo sprawianych pozorów nie mam w tej kwestii nic do powiedzenia. Wyrok zapadł.

– Kim wy jesteście? – pytam w kompletnym niedowierzaniu.

– Wszystkim się zajmujemy i wszystko przygotowujemy. Nie będziesz musiała się niczym przejmować.

– Naprawdę w to wierzycie? Naprawdę?

– Przyzwyczajasz się do Reeda, na pewno. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. – Nieustannie obracają kota ogonem, unikając odpowiedzi na trafiające w nich zwroty.

Na przecie ż. W tym domu nikt mi racji nie przyzna...

– Kotku – mama nachyla się ku mnie – osobiście dopilnuję, abyś dostała od nich godne warunki.

– Godne warunki? Już się nie kompromitujcie. – Swoją postawą wyraźnie się od nich odcinam i oddalam, obudowując lodowym murem. – Właściwie i tak już zostałam żoną pieprzonego Reeda Colina. Z głowy. – Puszczam im oczko i uśmiecham się do przesady słodko.

Zgrywam twardzielkę, oj zgrywam, gdyż w środku rozpadam się na drobne kawałki. Tak oto obudziłam się w największym koszmarze, jaki mógł powstać. A nazywa się on moją przyszłością.

ROZDZIAŁ 1

KIANA

Dokładnie dzisiaj mijają dwa lata, odkąd zgodziłam się na ten pieprzony układ. Chociaż w tym wypadku użycie słowa „zgodziłam”, jest mocnym nadużyciem. Nie miałam właściwie wyjścia, zostałam postawiona pod murem.

Poniekąd rodzice pozostawili podjęcie ostatecznej decyzji mnie, jednakże jakie miałam inne wyjście? Rozważałam wszystkie za, rozważałam wszystkie przeciw. I pomimo tego, że negatywów było nieporównywalnie więcej, nie mogłam postąpić inaczej. Gdybym tego nie zrobiła, targałoby mną poczucie winy i przekonanie, że z mojej przyczyny upadła rodzinna firma. Musiałam więc zacisnąć zęby i zrobić to, czego w innych okolicznościach nie zrobiłabym za żadne skarby świata.

Jak nietrudno było przewidzieć, takie zagranie nie mogło spowodować niczego dobrego. Poza faktem, że nasz biznes został uwzględniony w Colin Enterprises i każde z nas dostało wysoki stółek w nowej firmie, a moje życie zmieniło się w niekończące się pasmo rozczarowań, zgryzot i żali.

Mój wspaniały wybranek serca, Reed Colin, to kawał prostaka, chama i opryskliwego fiuta, któremu wydaje się, że każdy jest jego własnością. Nienawidzę go szczerze, prosto z głębi serca, jak nikogo innego. Już sam widok jego twarzy przysparza mi bóle brzucha, natomiast na dźwięk jego irytującego głosu mam ochotę strzelić sobie w głowę.

Gdy więc teraz dolatuje do mnie odgłos jego kroków w apartamencie, od razu robi mi się niedobrze.

– Witaj moja piękna żono – mówi, gdy tylko staje w progu wielkiej garderoby.

Ubrany w dopasowany bawełniany garnitur w granatowym kolorze z nieco jaśniejszymi pręgami oraz białą koszulę uśmiecha się chytrze. Pod sztywnym kołnierzem zawiązany ma wzorzysty krawat w podobnej tonacji, z brustaszy wystaje ciemna poszetka. Kasztanowe, przydługie włosy zaczesane ma na bok, bujne brwi podkreślają niemalże czarne dość głęboko osadzone oczy.

I co z tego, że wygląda wspaniale, skoro ja wiem, że to tylko złote opakowanie do nic niewartego wnętrza.

– Daruj sobie – odpowiadam nieprzyjemnie, mierzę go znieśmaczonym wzrokiem i prostuję się, zdejmując stopę z wielkiego fotela stojącego pod wyspą zastawioną torebkami, gdy tylko zakładana pończocha jest już wystarczająco naciągnięta.

– Jak zawsze rozkosznie niedostępna. – Cmoka językiem kilkakrotnie i wodzi wzrokiem po moich okrytych koronkowym kompletem biodrach. – To tak horrendalnie mnie podnieca.

Nie wstydzę się przed nim. Już nie. Jeszcze na początku nie mogłam przełamać się do nowej sytuacji, w jakiej zostałam postawiona, ale teraz nie robi to na mnie żadnego wrażenia.

– Bardzo skorzystałbym z porannego seksu... – Obniża ton, próbując brzmieć zmysłowo. – Dałby mi on dużo energii na cały dzień.

Rusza w moją stronę.

– Zapomnij. – Wyciągam przed siebie rękę, pokazując, że nie życzę sobie jego obleśnej bliskości. – Jeśli potrzebujesz zastrzyku energii, to nie wiem, napij się może kawy, wciągnij kreskę. One także postawią cię na nogi.

Wsuwam karminową spódnice na cieliste body z naszytymi kwiatami w pasującym kolorze i gdy schylam się po szpilki, on staje tuż przede mną.

– Chyba zapominasz, moja droga, na co się zgodziłaś, podpisując umowę. – Poważnieje.

– Nie było tam napisane, że mam przystawać na każdą twoją zachciankę.

– Ale było napisane, że przynajmniej raz w miesiącu należysz do mnie.

Nieprzyjemny impuls wywołuje u mnie ciarki. „Należysz do mnie” – to brzmi, jakbym była przedmiotem.

Mamy dwudziesty pierwszy wiek, szereg praw i regulacji, a mimo tego nadal można być traktowanym gorzej niż zwierzę.

– Do kolejnego razu zostało jeszcze trzynaście dni, nie żebym liczyła. – Zaciskam mocno zęby.

Nienawidzę go. Ogromnie. Niewyobrażalnie.

– Aż tak tęsknisz? – Uśmiecha się szatańsko.

– Żyj sobie w tym swoim chorym świecie, żyj.

Zgarniam energicznym ruchem torebkę, bordową sac de jour od Saint Laurenta, i omijając Colina jak najszerszym łukiem, wychodzę szybko z pomieszczenia.

Czuję, jak serce wyraźnie kołaczy mi w piersi. Powinnam była się już przyzwyczaić do tych jego obskurnych uwag, zaczepek czy tekstów, w końcu mam z nimi do czynienia wielokrotnie każdego dnia. Za każdym razem podchodzę do tego wszystkiego nadto emocjonalnie, widząc, że jakieś ukryte w nim resztki człowieczeństwa znikają w zastraszającym tempie. Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień i z miesiąca na miesiąc odnoszę wrażenie, że to piekło, w którym wylądowałam, staje się jeszcze mroczniejsze.

Na samo przypomnienie, że za niespełna dwa tygodnie znowu będę musiała się mu oddać, robi mi się słabo. Reed wcale tego nie potrzebuje. Jestem w pełni świadoma faktu, że sypia on z wieloma kobietami, które doskonale zaspokajają jego potrzeby. On jednak nie odpuszcza mi tego jednego pieprzenia w miesiącu, gdyż wie, że za każdym razem łamie mnie tym coraz bardziej.

Odkąd porozumienie weszło w życie, moje poczucie własnej wartości znacznie spadło. Staram się zachować pozory, grać silną, nieugiętą i pewną siebie, choć w środku jestem doszczętnie

popękana i mogę rozsypać się przy najdrobniejszym podmuchu. Stałam się zabawką w rękach Colina i jego ładną wizytówką na spotkaniach elit, która, gdy tylko gasną flesze aparatów, każdego dnia jest znieważana i nieszanowana.

– Dokąd tak się spieszysz, króliczku? – Rusza za mną, nie dając mi nawet chwili wytchnienia.

– Do pracy – odpowiadam krótko, bez jakichkolwiek uczuć.

– To pojedziemy razem. – Podbiega do mnie i łapie mnie pod rękę.

– Nie, nie pojedziemy. – Wyrrywam się mu czym prędzej. – Ty masz swoje auto, ja mam swoje auto i tego się trzymajmy.

– Oj, Kiana, Kiana – kiwa głową – myślisz, że takim zachowaniem coś wskórasz?

– Poza tym, że mieszkamy pod jednym dachem i nosimy nic nieznaczące obrączki, nie mamy ze sobą nic wspólnego. – Patrzę mu prosto w oczy, licząc, że może tym razem to do niego dotrze.

– Jesteś w błędzie, króliczku. – Mimo powagi sytuacji uśmiecha się obcesowo.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Och. Przecież wiem, że to lubisz.

– Jesteś chory.

Chcę go odepchnąć, ale właściwie co to zmieni?

Odwracam się na pięcie i starając się nawet nie wsłuchiwać w kolejne komentarze, wychodzę naprzeciwko ciemnej wyspy kuchennej. Kilka metrów za nią znajduje się olbrzymie okno panoramiczne, które daje widok na budzące się San Diego. Zaraz przed szybą zlokalizowana jest komoda, a na niej stoi koszyczek z kluczykami samochodowymi. Łapię za czarnego pilota z czterema przepłatającymi się obręczami, wrzucam go do torebki i udaję się ku windzie.

W podziemnym garażu, w specjalnie wyselekcjonowanej części, zaparkowane stoją nasze pojazdy.

Nasze. Kogo ja bajeruję?

Moje audi i kilka bryk Reeda, którymi i tak nie jeździ. Temu parszywemu gniotowi szofer obwozi codziennie tyłek, gdzieżby on sam miał to robić...

Wsiadam do auta, po czym ruszam z miejsca postojowego. Kolejny raz zastanawiam się, jak zostawić Colina. Szukam opcji, rozwiązań. Każdego poranka analizuję dziesiątki możliwości, wymyślam coraz to nowsze scenariusze, a jednak dalej tkwię w tym samym niezmiennym miejscu, bagnie. Przeraza mnie to, dogłębnie. Wiara, że uda mi się znaleźć wyjście, dodaje mi resztek otuchy i siłę, aby w ogóle podnieść się z łóżka. To może naiwne, ale gdzieś tam czuję, że już wkrótce może to być wykonalne.

Poza kilkoma partnerami w zarządzie siedzi stary Robert, Reed, mój ojciec i ja. Gdybym więc chciała zerwać porozumienie, musiałabym przekonać pozostałych członków rady do postawienia się po naszej stronie. Tylko w ten sposób byłabym w stanie utrzymać nasze nazwisko w użyciu. Mając większość, mogłabym wypowiedzieć umowę tego poronionego małżeństwa, zapewniając tym samym rodzicom niezmiennie członkostwo w udziałach. Oddałabym swoje miejsce mamie, a sama odsunęłabym się na bok, zniknęła z życia firmy i tej pieprzonej rodziny Colinów. Prawdopodobnie, gdyby przyszło co do czego, po prostu bym stąd wyjechała. Jak najdalej.

Jednak problem polega na tym, że pozostali ze sztabu są ponadnormatywnie lojalni Colinom, dlatego przeciągnięcie ich na naszą stronę byłoby nie lada wyczynem. Ale cholera! Ja dłużej tak nie dam rady. Mam dwadzieścia cztery lata, całe życie przed sobą i nie zamierzam go już dłużej marnować na tego palanta. I tak trwa to zdecydowanie za długo. Muszę coś zrobić, przestać jedynie planować, a zabrać się za konkretne działania. I to jak najszybciej! Nie zniosę dłużej tej obrzydliwej szopki, tych uda wań i cyrków. Dość.

Wchodzę do prywatnego gabinetu, kompletnie zatracona w przemyśleniach. Masywne zasłony odcinają poranne pro-

mienie, za to ulokowane w kilku rzędach na ścianach LED-y skutecznie rozświetlają pokój. Stawiam na drewnianym stoliku o złotych nogach torebkę i podnoszę klapę laptopa. W tym samym momencie rozlega się pukanie do drzwi.

– Tak? – Przenoszę na nie spojrzenie.

– Witaj córeczko.

Zza skrzydła wychyla się moja rodzicielka, uśmiechając się szeroko.

– Hej – odpowiadam mało entuzjastycznie, podnosząc z blatu białą teczkę z logo firmy.

Brunetka wchodzi do środka, lustruje mnie z góry na dół i opiera się o oparcie białego fotela. Kobaltowa sukienka za kolano fantastycznie podkreśla ton jej włosów, które swobodnie opadają jej na ramiona. Jest piękna, elegancka i przede wszystkim... szczęśliwa.

Przynajmniej ona.

– Znowu o coś się pokłóciliście? – zaczyna, widząc, że sama nie wyrywam się do opowieści.

Zwilżam usta językiem i ciężko wzdycham. Przecież to takie oczywiste.

– Ja naprawdę muszę się z nim rozwieść – oświadczam wprost, odsuwając na skraj blatu jakąś książkę, która leży tu tylko dla ozdoby.

Swojej mamie mogę powiedzieć o wszystkim. Nie muszę przed nią niczego udawać, nie muszę kłamać. Ona zna mnie na wylot i gdy tylko coś jest nie tak, momentalnie to zauważa.

– Oj Kiana, znowu wracasz do tego tematu? – Słyszę w jej głosie rozczarowanie. – Przecież już ci mówiłam, że to...

– Niewykonalne. Tak, tak, słyszałam. – Przewracam oczami. – Ale ja ci mówię, że znajdę sposób.

– Nie mamy większości w zarządzie.

– Wiem – sapię, odgarniając nerwowo kosmyki z twarzy. Za każdym razem, gdy rozmowa schodzi na tory Colina, mimowolnie się irytuje. – Jakoś ich przekonam.

– Obawiam się, córeczko, że to niemożliwe.

– Łatwo ci powiedzieć, skoro nie musisz mieć do czynienia z tym kutasem.

– Kiana... – Wzdycha głośno i zbliża się do mnie stojącej przy biurku.

Jej spojrzenie jest ciepłe, dobrotliwe i opiekuńcze. Posyła mi czuły uśmiech, kładzie dłoń na moim policzku. Wiem, że próbuje w ten sposób dodać mi otuchy, podnieść mnie na duchu. Ona, w przeciwieństwie do ojca, martwi się o moje zdrowie psychiczne. Jest w pełni świadoma, jakiego poświęcenia dokonałam.

– Mam go serdecznie dość. Z dnia na dzień mam coraz mniej ochoty do czegokolwiek – wyznaję szczerze, chyba zwyczajnie ulegając jej matczynej bliskości.

– Wiem, jakim palantem jest Reed, nietrudno to zauważyć – prawie szepcze – ale nie zmienia to faktu, że postanowiłaś wziąć na siebie to brzemię.

– Bo nie miałam wyjścia – prostuję szybko.

– Ale to zrobiłaś.

Kolejny raz wywracam oczami. Gdybym tylko miała wybór, nie byłoby siły ani mocy, która by mnie do tego zmusiła.

– Już za późno na rezygnację.

Odsuwam się od niej i odwracam wzrok, dobitnie rozumiejąc prawdziwość jej stwierdzenia. Jakbym się nie zapierała, dokładnie tak jest. Mogłam myśleć i kombinować wcześniej, gdyż teraz nic mi po tym. Zgodzenie się na to było największym błędem mojego życia.

– Przykro mi, kochanie – dodaje, zauważając, że zaczynam odgradzać się od niej coraz wyższym murem. – Jeżeli tylko czegoś potrzebujesz, służę pomocą.

– Jak ty mi możesz pomóc? – Przenoszę na nią rozżłoszczone spojrzenie.

Nerwy we mnie buzują. To bitwa, do której stanęłam zupełnie bezbronna i nieprzygotowana. Mój przeciwnik ma wielkie woj-

ska, niezliczone wpływy i wiele układów, podczas gdy ja... Podczas gdy ja mam w ręce jedynie plastikowy zabawkowy mieczyk.

– Kiana.

– Powinnaś zająć się pracą – ucinam antypatycznie, czym prędzej wchodząc za biurko. Jestem na granicy rozczulenia się, a nie mam zamiaru jej tego okazywać.

Czuję się niesłuchanie osamotniona. Co z tego, że mam ją tu przy sobie, skoro nie ma ona żadnej mocy sprawczej. Jestem uwięziona w tym przekłętym świecie, ubezwłasnowolniona. Nie mam nic do powiedzenia, jedynie mogę się zgodzić na to, co jest przede mną. No albo strzelić sobie w głowę. To jedyne inne rozwiązanie.

Brunetka odpuszcza, widząc, że już więcej nic nie wskóra. Odsuwa się powoli, mój humor najwyraźniej się jej udzielił.

– Będzie lepiej.

Zerka na mnie ostatni raz i wychodzi.

„Będzie lepiej”. Cóż za ściema. Nie, nie będzie. No chyba że Reed okaże mi łaskę i kopnie niedługo w kalendarz. To byłaby moja jedyna szansa na unormowanie sobie życia. Ale znając tego podłego wała, będzie sobie długo i spokojnie żył, doprowadzając mnie tym do utraty zmysłów.

Dzwoni znajdujący się na stoliku interkom. Zrezygnowana spoglądam na numer przychodzący, a wszelkie siły już zupełnie ze mnie uchodzą.

O wilku mowa.

– Co – odbieram nad wyraz przyjemnie.

– Rusz tutaj tę swoją zgrabną dupcię. Mam dla ciebie ważne zadanie – oświadcza w perfidnie zadowolony sposób, po czym się rozłącza. Cały, kurwa, Reed.

Już leczę, trzymajcie mnie.

Zakładam nogę na nogę i wchodzę w swoją skrzynkę odbiorczą. Od razu pomijam jakiekolwiek propozycje współprac, które standardowo zaśmiejają mi większość poczty. Nie mam ani cza-

su, ani ochoty na sesje zdjęciowe lub wywiady. Zamykam komputer i sięgam do tacki, na której leży dość duża sterta listów.

Biorę pierwszy z góry, rozrywam zamknięcie – zaproszenie na galę.

Jeszcze tylko mi teraz brakuje tych wszystkich „gustownych” rozmów z wybitnymi ekscelencjami. Odpada.

Biorę drugi – zaproszenie na kolację dla członkiń wyższych sfer.

Na samą myśl o tych wymizdrzonych żonkach na pokaz, ich sztucznych i dwulicowych uśmieszkach, słówkach oraz zachowaniach, odehciewa mi się jakichkolwiek kontaktów międzyludzkich. Odpada.

Biorę trzeci – powtórne zaproszenie.

Biorę czwarty – zaproszenie na pokaz mody.

Nie chciałoby mi się siedzieć tam ani kwadransu i patrzeć, jak wychudzone modelki prężą się w absurdalnych kreacjach. Odpada.

Kompletnie sposepniała chwytam za cały stosik i nie patrząc już nawet na adresatów pozostałych egzemplarzy, wrzucam je wszystkie do kosza. W tym samym momencie, gdy to robię, ktoś otwiera drzwi wejściowe bez pukania.

– Trzeba ci wysłać specjalne zaproszenie?! – Colin burczy od progu zdenerwowany tym, że musiał przyjść tutaj osobiście.

– Nie kłopotz się, bo i tak wyląduje razem z pozostałymi.

– Pokazuję na zapchany kopertami śmietnik.

Obracam się w skórzanym fotelu, porządkując zebrane wcześniej teczki, a przede wszystkim pokazując mu, że szczerze mam go i jego obecność gdzieś.

– Nie testuj moich granic cierpliwości, króliczku, bo...

– Bo co? Rozwiedziemy się? – wypalam od razu. – Jak tak, to nie musisz mnie zachęcać. – Uśmiecham się przesadnie.

– My się nigdy nie rozwiedziemy – dopowiada wyniosłe.

Jeszcze zobaczymy, fiucie.

– Po co tu przyszedłeś? – Zmieniam temat, chcąc się go jak najszybciej stąd pozbyć. – I od razu przejdź do rzeczy, bez zbędnego pieprzenia.

– Wchodziłaś dzisiaj na pocztę?

Rozpina guzik szytej na miarę marynarki, aby usiąść w białym fotelu typu lounge.

– Tylko pobieżnie. Bo?

– A uruchamiałaś San Diego News?

– Nie.

– To odpal.

– Nie mam na to czasu. Po prostu mi powiedz, o co ci chodzi – sapię.

Ja chcę konkretów, nie bicia piany czy opowieści z mchu i pa-proci.

Reed uśmiecha się w ten swój jakże irytujący sposób, a ja od razu wiem, że ma w zamiarach coś bardzo niegodziwego.

– Bo widzisz, droga żono, kilka miesięcy temu wypłynął na rynku pewien koleś, który nigdy nie powinien był tego zrobić – opowiada powoli, wiedząc, że nienawidzę przedłużania. Właśnie dlatego tak się tym rozkoszuje. – I teraz, w przeciagu trochę ponad kwartału, zdążył rozrosnąć się na tyle, że podbiera nam klientów.

– Co tak późno? – sztydę, bo nic go tak nie rozstraja, jak podkreślanie jego niedoskonałości.

Colin uwielbia okazywać mi swoją wyższość i władzę, ograniczać mnie na każdym możliwym kroku. Początkowo nie potrafiłam się mu przeciwstawić, ale gdy tylko lepiej go poznałam, zauważyłam jego słabe punkty. Od jakiegoś czasu za każdy jego tekst, odpłacam mu swoim, jeszcze bardziej dotkliwym. To jedyny sposób radzenia sobie z nim i utrzymania go na dystans.

– Śmieć co chwilę poszerza pola działania, stając się coraz bardziej popularnym. A dla nas to bardzo niekorzystne.

– No i co z tego? – Krzyżuję ręce na piersiach. – Nie on pierwszy, nie ostatni.

– Nie potrzebujemy tak silnego konkurenta.

– To umów się z nim na kawę i poproś, aby zwinął interes.

Moja sugestia jest tak samo absurdalna, jak to, co już potajemnie sobie powziął. Bo na pewno to zrobił.

Reed śmieje się chytrze, kładzie ramię na oparciu. Na widok tego robi mi się niedobrze. Niestety znam go i wiem, że ułożył w głowie jakiś obrzydliwy plan z moim udziałem.

Rozsiada się wygodnie, wodzi wzrokiem po mojej sylwetce, która wystaje znad biurka. I tak oto trafia mnie nagłe olśnienie. Zaciskam mocno zęby.

– Nie – przeciwstawiam się niezwłocznie.

O, mowy nie ma!!!

– Dokładnie tak, króliczku.

Jego uśmiech przeszywa mnie na wskroś.

– Nie zgadzam się. – Podnoszę się z fotela. – Nie będę pionkiem w twojej kolejnej pieprzonej grze!

Nie potrzebuję usłyszeć, czego ode mnie oczekuje. Już po samej jego postawie jestem w pełni świadoma, że chce, abym uwiodła jego konkurenta i wyciągnęła przy tym od niego informacje, które posłużą Colinowi za asa w rękawie.

– Skoro jest taki popularny, mój romans z nim rozniesie się szybko po salonach. – Próbuję zmusić go do porzucenia tej idei, wchodząc mu na jakże przerośniętą ambicję. – A przecież ty, wielki Reed Colin, nie możesz sobie pozwolić na coś takiego. W jakim świetle cię to postawi jako niezrównanego mężczyznę?

– Większych ode mnie zdradzano. – Nie ustępuje.

Och, dopomóż mi Boże, on delektuje się tą perspektywą.

– No świetnie, bo jeszcze przy okazji to ja wyjdę na niewierną, obłudną kurwę. – Krzywię się, widząc w tym zagranium podwójny zamach na moją osobę. – Mowy nie ma!

– A czy chciałabyś, abym zdegradował twojego ojca? Doskonale wiesz, że mogę.

Mierzę go nienawistnym wzrokiem, zadzierając wysoko brodę. Nie okażę mu obawy i uległości, nie teraz.

– Wszyscy członkowie musieliby się na to jednogłośnie zgodzić. – Łapię się wystającej nad powierzchnię brzytwy, nieubłaganie tonąc.

– Reszta zarządu zrobi wszystko, o co tylko ich poproszę.

Tracę grunt pod nogami. Ja jebię, znowu ten zarząd! Reed ma rację, oni siedzą mu głęboko w kieszeni, a ja nie mogę z tym faktem niczego zrobić.

– Nie. Nie zrobisz ze mnie niewiernej zdziry.

– Dokładnie to zrobię. A ty będziesz tańczyła tak, jak tylko ci zagram.

Chciałabym być bazyliżką i zabić go swoim wzrokiem. Nienawidzę go, brzydzę się nim. Nie ma na tym świecie drugiej tak obrzydliwej, wyrachowanej osoby.

Mierzę go wyniośle, zaciskam pod błatem pięści i czuję, jak paznokcie wbijają mi się w wewnętrzną część ręki. Towarzyszący temu ból zupełnie mi nie przeszkadza, przeciwnie.

– Także zbieraj się – wstaje, zapina jednorzędową marynarkę

– Nathaniel Praxton nie będzie wечно czekał.